

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że jestem wielkim zwolennikiem synodalności i uważam – parafrazując nieco słowa Karla Rahnera – że Kościół przyszłości albo będzie synodalny, albo nie będzie go wcale.

Słuchając jednak prezentowanych tutaj wystąpień mam wrażenie, że często powtarzamy te same sformułowania, a im bardziej je powtarzamy, tym mocniej rozmiękczamy i rozwadniamy, wkładając w nie bardziej niż to, co faktycznie znaczą, to co chcielibyśmy w nich rozumieć. A co znaczą? Właśnie chyba sami nie do końca wiemy. Przykładem może być pojęcie „inkluzywności”. Dla jednych oznacza ono po prostu otwartość na współpracę i gotowość do dialogu z każdym. Dla innych – włączanie do Kościoła katolickiego każdego, kto zaakceptuje jego nauczanie w kwestiach wiary i moralności. Dla innych jeszcze – dopasowanie tak rozumianego nauczania Kościoła do oczekiwań współczesnego świata, tak aby jak największa liczba osób mogła do niego dołączyć i poczuć się jego integralną częścią. Kto ma rację? Może wszyscy, a może nikt? Problem w tym, że w obrębie kwestii synodalnych istnieje cały szereg takich niedookreślonych pojęć, którymi chętnie i łatwo się posługujemy. Generuje to oczywiście niebezpieczeństwo całego szeregu możliwych nadużyć – ryzyko instrumentalizacji i wykorzystania pojęcia synodalności w celu realizacji partykularnych interesów całych społeczności, a nawet pojedynczych osób. Wtedy – zamiast zmieniać siebie w Kościele – zaczyna się proces zmiany Kościoła i dopasowywania go do własnych potrzeb oraz oczekiwań. Owszem, Kościół wymaga reform i zmiany, lecz bynajmniej nie na nasz obraz i podobieństwo. Dlatego jeśli chcemy dalej podążać razem, musimy wiedzieć, o czym mówimy, i co sobie nawzajem komunikujemy. Nie chodzi przy tym o werbalny rygorizm, ale po prostu o poprawne używanie słów. Dlatego wydaje się konieczne, aby w najbliższym czasie – równoległe do tego rodzaju dyskusji, które tu prowadzimy – rozpoczęła się intensywna praca teologiczna na poziomie eklezjologii i antropologii, tak aby język synodalności nie był zbiorem wieloznacznych i przez to często pustych pojęć, ale mógł adekwatnie opisywać rzeczywistość; abyśmy nie tworzyli synodalnej nowomowy, zachowując pozory zewnętrznej zgody, ale konserwując wewnętrzne podziały i różnice. Proces synodalny wymaga również przejrzystości i precyzji w języku i terminologii, żebyśmy mogli uczciwie komunikować sobie własne stanowiska i budować jedność w obrębie Kościoła.

Chciałbym też podkreślić, że poprawne mówienie o synodalności jest wyrazem szacunku i otwartości na tę przeważającą większość Kościołów w różnych krajach Europy, których członkowie obawiają się, aby synodalny język nie został użyty do manipulowania nauczaniem Kościoła. Można bowiem ulec zwodniczemu urokowi powierzchownych rozwiązań, jak np. postulowana czasami pod szyldem synodalności idea ordynacji kobiet, która – zamiast podkreślać faktyczny geniusz kobiety i jej wyjątkowe miejsce we wspólnocie Kościoła – zdaje się popadać w pułapkę neoklerykalizmu. Dziękuję za uwagę.

Aleksander Bańka